

Tadeusz Zygmunt Bednarski

Choć dzienna data setnej rocznicy urodzin wybitnego artysty-malarza — Stanisława Dębickiego minie dopiero 4 grudnia br., wcześniejsze przypomnienie sylwetki artysty narzuca nam, otwarta zaledwie przed kilkoma tygodniami, wystawa dzieł artysty urządzona w Muzeum Śląskim we Wrocławiu. Tam właśnie — dzięki staraniom dyrektorki tego Muzeum, dr Marii Starzewskiej i przy życzliwej pomocy kierownictwa szeregu zbiorów muzealnych i bibliotecznych oraz właścicieli zbiorów prywatnych — dano możliwość retrospektywnego zetknięcia się z częścią dorobku wybitnego artysty, syna Rzeszowszczyzny, który związany był nie tylko z rodzinnymi stronami faktem

larskich studiów en plein air. Przez kancelarię żmigrodzkiego notariusza przewijały się dziesiątki postaci i wiele z nich reprezentując ciekawe etnicznie, pełne psychologicznej ekspresji typy, uchwyconych zostało zręcznymi kreskami doskonałego rysownika w szkicownikach. Przez werandę żmigrodzkiej willi przesuwały się małomiasteczkowe szare surduty mężczyzn z szerokimi rondami u kapeluszy, chusty, zapaski, barwne spódnice kobiet wiejskich, żydowskie jarmułki, cha-

Galicji, zostały dostrzeżone przez Dębickiego „poprzez mgłę nędzy i biedy, poprzez ciemną zaslonę przesądu i zacofania”. Autor wspomnianego na wstępie katalogu obecnej wystawy zaznaczył wprawdzie, że obrazy o tematyce zabarwieniu społecznym nie mają siły jaskrawego krytycyzmu, charakterystycznego dla niektórych prac Gierymskiego, jednak nawiązują do tradycji malarskiej, tzw. małego realizmu, którego przedstawicielem był np. Aleksander Kotsis. Odrapane, stojące nad potokiem, mieszkalne budy biedoty małomiasteczkowej, tragedia ludzkich istnień, nę-

wiadujemy się, iż Dębickiemu za rysunki i projekty układów drukarskich przyznano jeden z sześciu brązowych medali. Kariera artystyczna twórcy z Lubaczowa jako malarza, dekoratora wnętrz, ilustratora, pedagoga i grafika pisma literackiego, upodabniała się do kolei życia Wyspiańskiego. W 1909 r. Dębicki przeniósł się do Krakowa, a kiedy twórca „Wesela” zmarł, syn rzeszowskiej ziemi objął opustoszałe stanowisko najpierw asystenta, w rok później docenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie w zakresie malarstwa religijnego i dekoratorstwa.

ka polska” z odbitkami z reprodukcji dzieł malarskich, Marchlewski projektował: „...dajmy Matejkę, Gierymskich, Malczewskiego, Dębickiego, Chelmońskiego, i to rzeczy dobrane i w dobrych reprodukcjach, to nie zrobimy geszeftu, za ledwie pokryjemy koszt, ale będzie tu satysfakcja, że muszą Pludry (Prusacy — przyp. TZB) uznać, że „jeszcze Polska nie zginęła”...”.

Do krakowskiego mieszkania profesora Dębickiego przy ul. Czystej 16 na I piętrze zaglądali po ostatnie dni jego życia artyści, krytycy, znawcy sztuki. Sztukę lubaczowskiego artysty szeroko propagował, od czasów pierwszych kontaktów Dębickiego z Krakowem, popularny, zwiastował w czasach I wojny światowej, młody wówczas koneser i kolekcjoner sztuki, syn profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego — Zygmunt Ziembicki. Wreszcie praca pedagogiczna została uwieńczona powołaniem. Dnia 27 maja 1911 r. Dębicki dostał nominację na profesora nadzwyczajnego, a dopiero w dwanaście lat później — 23 maja 1923 r. został profesorem zwyczajnym w krakowskiej Akademii. Ostatnią nominacją nie cieszył się długo. Schorowany artysta zmarł w Krakowie 12 sierpnia 1924 r.

PORTRET ARTYSTY Z LUBACZOWA



Stanisław Dębicki: autoportret artysty z roku 1895.

urodzenia, ale tu dużo przebywał, malował i pejzażami z Rzeszowszczyzny stał się propagatorem uroków i folklorystycznej egzotyki tej ziemi.

WSPOMNIENIA ZE ŻMIGRODU

Najpierw sprostowanie biograficznej nieścisłości. W III tomie „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej”, wydanej przez PWN w 1963 roku, mylnie podana jest dzienna data urodzin malarza — 14 zamiast 4 grudnia 1866 r., jak to podał Wł. Jarocki w V tomie „Polskiego Słownika Biograficznego” i ostatnio wydany ex res wystawy, katalog w opracowaniu mgr Piotra Łukasze-wicza. Tak więc Stanisław Mieczysław Dębicki urodził się w Lubaczowie jako piąty i najmłodszy syn Jana i Wilhelminy. Ojcem jego był notariusz sądowy, który do swego zawodu pociągnął jednego z synów — Ignacego. Tę marginalną uwagę o rodzinie artysty wspominamy dlatego, że właśnie u brata — Ignacego, notariusza ze Żmigrodu, często bywał artysta i kreśląc szkice z tego miasteczka podtrzymywał kontakt z rodzinną Rzeszowszczyzną. Kilka pejzaży ze Żmigrodu jest obecnie wystawianych na rocznicowej ekspozycji dzieł Dębickiego. Wyjazdy do tego miasteczka były nie tylko oderwaniem się od codziennych kłopotów, zawiści środowiska, odetchnięciem atmosferą rodzinnych stron i możliwością ma-

łaty i szlafmyce. Oblicza klienteli notariusza wyrażały chytrych, nieustępliwość, ból czy rezygnację. Dla artysty — wspaniałe studium psychologiczno-obyczajowe.

OKIEM HUMANISTY

Głębokie przywiązanie do rodzinnych stron kształtuje się w psychice przyszłego artysty od wczesnej młodości. Szkołę realną Dębicki ukończył w Kołomyi w 1881 r. Nie licząc jeszcze piętnastu lat artysta wyjeżdża w październiku tegoż roku do Wiednia, by tam rozpocząć studia w Ogólnej Szkole Malarstwa (Allgemeine Malerschule). Drugi semestr roku akademickiego 1882/83 spędził w Krakowie w Szkole Sztuk Pięknych za rektora-tu Jana Matejki, pod kierunkiem prof. Władysława Łuszczkiewicza, prowadzącego aktualnie studium rysunku z natury. I znów wraca do żółto-czarnej metropolii — Wiednia, gdzie przy końcu roku akademickiego 1883/84 odbiera srebrny medal. Wysokie wyróżnienie staje się bodźcem do dalszych studiów. — 15 października 1884 r. Dębicki immatrykułował się w Akademii Sztuk Pięknych w Monachium. Po powrocie do kraju, ok. 1886 r. podjął się pracy pedagogicznej w Szkole Ceramicznej w Kołomyi, z którą związany był do 1890 r. Stamtąd artysta robił częste wyprawy do okolicznych wsi huculskich i na Rzeszowszczyznę.

Zagraniczne studia, jak i wojaż do Paryża i zetknięcie się tam oprócz cyganerii z innymi warstwami i grupami społecznymi, uczuła społeczne spojrzenie artysty. Głęboki humanizm Dębickiego znajduje swój wyraz w pogłębieniu zainteresowania dla mieszkańców ubogich wsi i miasteczek. Krytyk sal wystawowych, syn przyjaciela artysty, a potem sam pozostający w zażyłych stosunkach z malarzem — Mieczysław Treter, we wspomnieniu pośmiertnym, zamieszczonym w 2 numerze „Sztuk Pięknych” z 15 listopada 1924 r. pisał np., iż typy żydowskie, tak bardzo charakterystyczne dla małych miasteczek b.

dza wiejskich lepiarek, bosc, obdarte gromady żydowskich dzieci, prymityw sanitarny — oto treść takich obrazów i szkiców jak „Wenecja galicyjska”, „Chamajdes w chajderze”, „Pogrzeb żydowski w małym miasteczku”, „Małamed z dziećmi w drodze do chederu” czy „Kąpiel w Prucie”. Ponurej treści odpowiadała forma artystycznego wyrazu. Prace malarskie o tematyce nędzy i smutku utrzymane są zwykle w szarym, jednostajnym kolorze.

NASTĘPCA WYSPIAŃSKIEGO

Po okresie pracy w Kołomyi artysta przeniósł się do Lwowa. Wy-stąpił tam po raz pierwszy na szerszym forum w salonie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. W rok później jego portrety pastelowe zwracają uwagę krytyki. Pokazana w 1897 r. również w lwowskim salonie TPSP rzeźba „Hucui” i medal pamiątkowy ku czci Wł. Łozińskiego zwracają uwagę narzeźbiarską stronę uzdolnień artysty. Według swych szkiców ok. 1900 r. częściowo sam, częściowo wraz z J. Zuberem i A. Augustynowiczem wykonał sceny komedii w hallu Teatru Miejskiego we Lwowie. Również zdobi fragment lwowskiej katedry i wraz z T. Popielem maluje polichromię świątyni na rodzinnej Rzeszowszczyźnie — w Żolyni koło Przeworska. Artystyczny konterfekt twórcy z Lubaczowa staje się coraz pełniejszy. Do opinii wziętego portrecyisty, pejzażysty, rzeźbiarza — dochodzi nowa dziedzina. Dębicki wiąże się z drukarstwem, jako grafik i ilustrator.

Wychodzące w Warszawie w latach 1901—1907 czasopismo literacko-artystyczne „Chimera”, redagowane przez Zenona Przesmyckiego (Miriam), zaprosiło go do współpracy. Do ostatniego — X tomu w piśmie tym spotykamy winy i inicjały w opracowaniu artysty do tekstów J. Kaspro-wicza, E. Porębowicza, L. Staffa i innych. Lwowska księgarnia nakładca Alfreda Altenberga i Towarzystwo Wydawnicze we Lwowie umożliwiło naszemu malarzowi pracę z zakresu zdobnictwa książek i rysowania kart pocztowych. Projektował więc okładki, znaki i godła firmowe, exlibrisy. Właśnie dzięki Towarzystwu Wydawniczemu we Lwowie z jego kunsztem spotykają się np. specjaliści w Pradze. Tam bowiem Zakład Litograficzny Neuberta wydał w 1904 r. „Bajkę o Kasi i królewiczu” Lucjana Rydla, do której układ tekstu, inicjały, ozdoby, rysunki, okładkę i złocenia projektował Dębicki.

W krakowskim mieszkaniu p. Karoliny Mrozowej, pełnym pamiątek po artyście, który był jej szwagrem, przeglądam Rydłową bajkę. Naiwne, pisane dla dzieci, strofy wyrażały treści nieobce Dębickiemu z rodzinnych stron:

„Nie miała Kasia ojca, ani matki
I musiała latem w gorące
południe
Iść po jasną wodę z konwiami
pod studnię...
I musiała w zimie od samego
rana
Rąbać kłody drzewa na drobne
polana...”

Ilustrował też Kaspro-wicza, Kopnicką, Niemojowskiego. W wychodzącej w drukarni Wł. Teodor-czuka w Krakowie w latach 1903—1904 dziesięciodniówce „Liberum Veto” — „piśmie poświęconym polityce, literaturze i sztuce” objął stanowisko kierownika artystycznego. Z protokołu z 17 lutego 1905 r. z posiedzenia komisji sędziów wystawy drukarskiej — „Polska sztuka stosowana”, urzędzonej w pałacyku Czapskich w Krakowie, do-

UZNANIE

Biografowie Dębickiego zgodnie podkreślają, iż artysta nie ubiegał się za reklamą. Zdobyte medale, współpraca ze znakomitą „Chimerą” i innymi periodykami („Liberum Veto”, później „Szczytek”), portretowanie wielu znakomych ludzi — doprowadziło do ustalenia nazwiska wśród znakomitej plejady młodopolskich twórców. Jego sztuka wysoko cenili wybitny esteta, wydawca, eseista, ekonomista z wykształcenia, a znany większości naszego społeczeństwa jedynie jako działacz międzynarodowego ruchu robotniczego — dr Julian Marchlewski. Jego stosunek do talentu Dębickiego znalazł wyraz w liście pisanym z Monachium 24 listopada 1903 r. do Stefana Żeromskiego w Zakopanem. Czytamy tam m. in. „...szkoda, że p. G. i W. (Gebethner i Wolff — przyp. TZB) na moje propozycje nie reagowali. Gdyby oni byli cokolwiek mądrzejszymi geszefciarzami, to trzeba im było razem z nami zamówić u jakiegoś wielkiego artysty np. Dębickiego — ozdoby do książki...”. Pisząc dalej o propozycji wydania albumu „Sztu-

Cytowany już wyżej M. Treter, tym razem w 222 numerze „Rzeczypospolitej” z dnia 16 sierpnia 1924 roku podkreślał jego przywiązanie do Rzeszowszczyzny pisząc: „...Choć znał szeroki świat, a z Monachium i z Paryża najlepsze miał wspomnienia, którymi żył chętnie, przywiązany był gorąco do kraju i do swej ciśniejszej ojczyzny — do Małopolski Wschodniej, gdzie się urodził...”. Ocenę zaś ten sam krytyk usiłował dać we wspomnianym już artykule w „Sztukach Pięknych” notując: „...Artystyczny dorobek Stanisława Dębickiego byłby nieporównanie większy i dla sztuki naszej cenniejszy, gdyby mu dane było żyć w innych, pomyślniejszych dla sztuki warunkach. I to jednak, co jako owoc wielkiego trudu i mozoliu po nim zostało, każe nam na zawsze czcić w Stanisławie Dębickim wybitnego twórcę i rzetelnego artystę”.

Podana tu z okazji setnej rocznicy urodzin Dębickiego garść faktów, uwag, wspomnień i opinii niechaj ułatwi nam spojrzenie w konterfekt artysty z Lubaczowa.

Wiesław Kulikowski

Dziewczęta w polu

Ich ręce przy dotknięciu ziemi rozkwitają,
a szyje — oplątane powojem...
Ich oczy są prawie przy niebie —
zastaniają je obłoki
jeszcze bielsze od rąk.
— Biegnie za nimi kąkol —
a one wrastają w swoje cienie
i odkopują słońce
motykami
— i wieszają na powojach niebieskie sny.

Niosę w sobie lato

Niosę w sobie lato
i grzęznę w ptakach —
— znajduję w stole twoje śpiewające ślady.

Kiedy słowo staje się słońcem,
podchodzę pod twój zielony sen.

Kwitną drzewa
jak hubin,
który ciebie lubił

— i piję drzewa
do późnej zieleni
w słonecznej podłodze

Chcę oddychać

Utopieni w słońcu,
jesteśmy tak biali,
że nie odróżni nas nikt od kartki —

— i tyle w nas ptaków,
aż nie możemy lecieć!

Ta kartka tak lekka,
aż cięży
i staje się lasem.

Chcę być w samym jej środku —
w słowach —
chcę oddychać.



Fot. M. KOPEĆ

Cecylia Błońska

Niemilosierne są wśród nas?

...Według niepełnych danych, na terenie woj. rzeszowskiego mamy ponad 200 tysięcy obywateli, którzy osiągnęli wiek starczy"...

(Ze sprawozdania Komisji Spraw Staroego Człowieka przy PKPS w Rzeszowie)

...Kolejka była niewielka. Kobieta płaciła już, pakując ser do siatki, gdy z tyłu podeszła do niej starsza niewiasta i zwracając się per ty, poprosiła, nie czyniąc z tego tajemnicy:

— Jak już stoisz przy ladzie, weź mi pół kostki masła. Masz tu odliczone pieniędże. Tamta więc szybko poprosiła o to masło i nie trwało ani minuty, gdy obie odchodziły od nabiałowego stoiska w „Delikatessach”.

Ta, która nabyła masło, nie mając czasu czy ochoty przeczekiwać kilku osób, życzliwym uśmiechem pożegnała jeszcze znajome, zauważone w kolejce. I ja też pozdrowiłam ją serdecznie.

Jest rencistką. Zna ją na pewno przysłowiowe „pół Rzeszowa”. Była jednym z pierwszych pracowników Wojewódzkiej Rady Narodowej; kontentując się przydzielonym chlebem i porcją kwaśnej marmolady, przy załprowizowanym biurku pracowała, urzędowała, według najlepszych wzorów załatwiając ludzkie sprawy. Uczynna, energiczna, bezinteresownie zaangażowana w kłopotach i rodzinnych troskach swych młodszych koleżanek.

Tak w mgnieniu oka myślałam o niej, uderzona nagle gwałtowną wymianą zdań.

Starannie ubrana, szczupła, o energicznej twarzy kobieta, władczym tonem rzucając ekspedientce zamówienie, czyniła jej ostre wymówki:

— Wydała jej pani bez kolejki. Jakim prawem, tak nie wolno, ja panią nauczę!

— Podala starej kobiecie — wtrącił ktoś: Nic się nie stało.

Awanturowała się dalej, uważałam więc za stosowne cicho, lecz stanowczo napomknąć o tym, że tamtą znamy wszyscy, że jest w podeszłym wieku.

— A, to mnie najmniej wkurza — oświadczyła hardo i z głową wysoko podniesioną, ścigana nie najżyczliwszymi spojrzzeniami, oddaliła się od stoiska.

— Nie ma pani pojęcia, ile uwag muszę tu wysłuchać i to głównie od kobiet, gdy jakiejś staruszce podam towar bez kolejki — żaliła się ekspedientka — mogę pokazać zapisy w książce zażaleń.

— A jednak, tak trzeba. Niech pani nie zwraca uwagi na takie głosy, nie damy pani zrobić krzywdy.

— E, to się tylko tak mówi, ale co się tu dzieje, gdy obsłuże starego człowieka poza kolejnością...

W tych samych „Delikatessach” przy stoisku wędliniarskim, omijając spory „ogonek” wprost do sprzedawczyń podbiega energiczna mamusia z 4-letnią tęgą, rumianą, pięknie ubraną dziewczynką na ręku. Drugim ramieniem przytrzymuje plik kolorowych fatalaszków. Jest dzień targowy. Widocznie idzie wprost z „ciuchów”.

Sepieniacz przymilnie i głośno, mówi do małej, energicznie wydzierającej się z rąk na podłogę:

— Zaraz Violetka dostanie synecki. Dziecko baldzo zmęczone. Kce papusiu. I ostrożnie, by nie pomiać riuszek i kokardek wykwintnej nylonowej sukienki, sadza małą na kontuarze.

Z tłumy czekających wysuwa się staruszka uboga odziana. Spod brudnej chustki sterczą kosmyki siwych włosów.

— Mogłybyście mi dać 10 deko boczek bez czekania — nie mam siły stać.

— O, co dopiero widziałam ją na dziedzi, handlowała, a tu nagle opuszcza ją wigor — wykrzykuje na cały sklep mamusia Violetty.

— Pewnie sprzedawała swoje futro z nurków, bo się jej znużyło, co? — rzuca kąśliwie pan w ciemnych okularach.

Tamtą nie dostrzega ironii. — Nurki, nie nurki, handlowała. Sama widziałam, jak sprzedawała naftową lampę. To teraz modne, to daje pieniądze.

— Więc, jak już zdobyła parę złotych, niechże pani pozwoli starowinię kupić odrobinę wędliny bez czekania. — Niewiasta, która miesza się teraz do rozmowy, mówi to tak dobitnie, że ekspedientka nie

zważa już na głośne niezadowolone uwagi mamusi Violetty...

Mogłabym jeszcze przytoczyć taką scenę ze stoiska piekarniczego przy ul. Grunwaldzkiej, gdy dopiero wianką polskiej mowy trzeba było zwrócić uwagę personelu na staruszkę, która odważyła się zakwestionować świeżość podanego jej bochenka chleba. Ponad jej głową, całkowicie ignorując jej obecność i zakłopotanie, sprzedawczyń z uwagą i ochoczo obsługiwały beztrzęsą grupę eleganckich

słówkach przedstawia troski ludzi starszych, pozbawionych rodzin, dla których trzeba by koniecznie w Rzeszowie stworzyć coś w rodzaju Domu Spokojnej Starości.

Znacie przewodniczącą Związku Emerytów?

Jej szczęście, nieklamane zadowolone, gdy przekrzykując wicherem i śnieżyce obwieściła mi, że zdobyła opał, w pierwszej chwili nasuwały mi się, iż długo chyba musiała marznąć w nieopalanym mieszkaniu. Ale ona natychmiast dodała, że z jakiejś dodatkowej puli uzyskała węgiel dla rencistów, tych niedolężnych, samotnych.

Ta radość przypomina mi się zawsze, ilekroć na posiedzeniach Wo-



Gdy w sklepie lub na autobusowym przystanku spotkacie ją w kolejce...

przybyszów: ich stojące przed sklepem czerwone auto przyjmowało do swego wnętrza laski makowników, pękate torby makaroników, inne smakołyki. I tutaj na tym jakże banalnym na pozór styku handlu — konsument (można by go uogólnić, podnosząc do rangi spotkania człowieka z człowiekiem) dopiero interwencja postronnego obserwatora, utrzymana w tonacji karabinowej serii spowodowała, że kobiecina została jednak obsłużona. Co więcej, została zauważona.

Działając teraz na zasadzie scenariusza do schematycznego filmu, gdzie sytuacjom smutnym przeciwstawia się radosne, typom czarnym charakterzy ze wszelkich miar świetlane, chciałabym zapewnić, że tym nie miłośnierym, zdolna jestem przeciwstawić całą różnorodną galerię kobiet z różnych środowisk, odnoszących się do ludzi starych z aktywną życzliwością.

Co więcej, mogę przytoczyć przykłady osób, które chociaż same utrudzone życiem i nie pierwszej już młodości — czujnie i po ludzku reagują na cudze niedole.

Znacie tę wyniosłą, o smutnej twarzy, siwą kobietę, która nieustannie towarzyszy swemu ulotnemu dziecku, chroniąc je przed bezmyślnym okrucieństwem ulicznej lobuzerii? To aktywistka Komitetu Blokowego w swojej dzielnicy. Na pierwszej naradzie zreorganizowanej Ligi Kobiet, właśnie jej wystąpienie najbardziej utkwiło mi w pamięci. Nie mówiła o własnych kłopotach, nie apelowała o pomoc dla swych trudnych spraw. W żarliwych, prostych

jęwódkiej Rady Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, na naradach Wojewódzkiej Komisji Przyjaciół Staroego Człowieka słyszę o „akcji opałowej”. A przecież obok akcji opałowej, czyli zaopatrywania ludzi starych w niezbędny opał, jest jeszcze „akcja obiadowa” — dostarczanie ciepłego posiłku, raz bodaj w dniu, staruszkom niezdolnym przyrządzić sobie ciepłe pożywienie.

Tym bardziej więc rozumiem troskę przemyskich kobiet, młodszych, starszych, tych w sile wieku (które na dobrą sprawę, mogłyby jeszcze bez reszty oddawać się swemu szczęściu małżeńskiemu czy rodzinnemu), jak latami w tym ambitnym skądinąd miłośnicze zabiegają o skromne pomieszczenie na Klub Ludzi Starych. Jak władzom miejskim wskazują zbyt gęsto o-

bok siebie zlokalizowane knajpy: jedną, bez żadnej szkody dla renowy Przemysła, można by opróżnić na taki klub, a ścisiej mówiąc na kuchnię wydającą pożywe posiłki, na miejsce, gdzie by można się „otkać, poczytać gazety, zapomnieć na chwilę o smutnej pustce samotnego dnia u schyłku życia.

Mogłabym tu wiele opowiadać o innym zespole przemyskich aktywistek PKPS, organizatorek znakomych wczasów dla staruszek w Dubiecku — w pomieszczeniach zabytkowego zamku.

Nie oznacza to jednak, że wśród naszych siostrzy nie pokutuje jeszcze sporo znieczulicy. Jej chyba swą osamotnioną dotąd, codziennie od nowa rozpoczynane borykanie się z losem, zawzięta stara, trochę dziwaczna kobieta. Każdego ranka spotykamy ją w Rzeszowie, biegnącą po ubogie zakupy w stronę targowej hali, gdzie straganiarzki z szacunkiem należnym jej z tytułu wieloletniej służby, mówią do niej pani n a u c z y c i e l k o. A gdyby tak również odrobina zainteresowania ze strony młodszych pokolenia jej zawodowych koleżanek?

Jeśli tak trudno wykrócić z tygodnia czy chociaż miesiąca trochę czasu dla ułżenia cudzym potrzebom i niedolom, jeśli nie stać nas na tolerancję, na stratę kilku minut w sklepowym „ogonku”, pomysłmy, nie bacząc na harde zapewnienia klótlwej kobiety, którą „starość najmniej wkurza”, iż czy chcemy czy nie chcemy, ona do nas przyjdzie. Gdy tylko dane nam będzie dożyć, i my wkroczymy w w y ż l u d z i s t a r y c h, który nieuchronnie zbliża się do naszego kraju.

I oby, czego należy jej życzyć z całego serca, mała, rozpieszczona Violetta, dożyć mogła późnej starości zawsze tak czułą otoczona opieką i niechby całe jej życie było nylonowe (dziś już nie mówi się jedwabne). Nikt jednak — nawet i jej zaradna mamusia — nie może niestety mieć tej pewności, czy kiedyś nie będzie to już tylko Wikta: samotna, opuszczona, nikomu niepotrzebna, stara kobieta. Bo taka bywa ślepa, bezlitosna sekwencja życia.

Jej bodaj na przekór — nie bądźmyz niemilosierne!

Dni Folkloru Pogorza w Bieczu

W dniach od 1—25 września br. odbędą się w powiecie gorlickim uroczystości związane z Dniami Folkloru Pogorza i Dniami Gorlic. Pierwsza impreza będzie się odbywać w Bieczu w czasie od 3 do 4 września. Program zapowiada się interesującym i bogatym. Złożą się na niego występy regionalnych zespołów pieśni i tańca z Łużnej, z Gorlic, z Niegłowic i z Bobowej. W imprezie weźmie również udział zespół z powiatu sądeckiego „Podgrodzie”. Ponadto odbędzie się wystawa grafiki i fotografii amatorów oraz przemysłu ludowego Pogorza.

W czasie trwania obchodów Dni Folkloru czynny będzie kiermasz ze stoiskami pamiątkarskimi regionalnej sztuki ludowej z okolicznościami napisami i herbami miast. W związku z tą imprezą Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej w Rzeszowie przygotowuje specjalny folder.

Dni Gorlic trwać będą od 1—25 września i będą miały podobny przebieg. Również wezmą w tej imprezie udział zespoły regionalne. Czynną będzie także ekspozycja grafiki Włodzimierza Kunca, adiunkta ASP w Krakowie, pochodzącego z Gorlic.

W dniach od 9—11 września koła PTTK w Rzeszowie i w Gorlicach zorganizują Jesienny Rajd Górski w Beskidzie Niskim z zakończeniem na Magurze Malastowskiej.

Te niewątpliwie atrakcyjne uroczystości przyczynią się do spopularyzowania dorobku kultury ludowej Pogorza i walorów turystycznych pięknej ziemi gorlickiej. jg.

Milenijne wydawnictwo łódzkiego muzeum

Staraniem etnografów z Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi ukazał się specjalny tom wydawniczy przez to muzeum serii „Prace i materiały”, poświęcony rekordziemu ludowemu. Tom został opracowany na podstawie badań przeprowadzonych przez łódzkich etnografów w pow. bełchatowskim, zwłaszcza w osadzie Grochalice. Publikacja wydana została dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Przewodnik wakacyjny

NIEDZWIĘDZ Z ŻÓŁTYM KRZYŻEM

Dlaczego właśnie niedźwiędz, i do tego z żółtym krzyżem maltańskim, jest herbem Przemysła — nie bardzo wiadomo, pomimo że przewodnik „Przemysł i okolice” z 1964 r. podaje, iż w powiecie przemyskim „jak przed laty spotkać można niedźwiędzia”. Jednak żadna z osób, przemierzających szlaki turystyczne od Przemysła do Krasiczyna, Birczy, Pruchnika czy Dubiecka, pięknie wyznakowane, nie miała, jak dotąd, sposobności spotkania się z żywym herbem miasta — czarnym misiem, nawet bez tego żółtego krzyża.

SZUKAMY MARII MALCZEWSKIEGO

Na Zasanu, lewobrzeżnej dzielnicy Przemysła, znajduje się kościół i klasztor benedyktynek, wzniesiony w 1777 r. przez Franciszka Salezego Potockiego, ojca Szczęsnego, męża Gertrudy Komorowskiej, heroiny poematu Malczewskiego „Maria”. Gertruda została z rozkazu Franciszka Potockiego uduszona, a potem utopiona w Bugu. Sprawa oparła się o sąd i dumny magnat, który nie chciał się zgodzić na małżeństwo syna, musiał zapłacić rodzinie Komorowskich grzywnę pieniężną, a jako ekspiację wystawić ów kościół.

Inny z przemyskich klasztorów, dominikański, głośny był z nie mniej romantycznej historii: w 1635 r. zjawił się konno rycerz Kurdawnowski i wtargnąwszy do środka, porwał jedną z zakonnic, wsadził na koń i uwiózł do swego zamku. Jaki był epilog tego raptus puellae — można dowiedzieć się ze starych kronik, przechowywanych w archiwum diecezjalnym Przemysła.

GUARDIAN — POGROMCA BISURMANÓW

Ostatni zagon tatarski zjawił się pod Przemysłem w 1687 r. Miasto upadło na duchu, ale Krystian Szyszowski, guardian reformatów, zakasał habit i chwyciwszy w jedną rękę szabłą, a w drugą krzyż, przepędził bisurmanów szturmujących już klasztor, który pełnił rolę barbakanu w murach miejskich. Na pamiątkę tego wdzięczni przemysłanie wzniesli mu piękny pomnik, co prawda dopiero w dwieście lat po tym zdarzeniu.

Czas niestracony

(Ciąga dalszy ze str. 1)

pracy organizacyjnej nieomal wyłącznie działaniem społecznym, za co Towarzystwu należą się serdeczne wyrazy podziękowania i szacunku dla tak pięknie realizowanych haseł i dążeń, mających na celu zbliżenie muzyki do wszystkich, które lapidarnie można określić jako „Muzyka w — służbie społeczeństwa”, „Muzyka dla wszystkich” itp. Ale przegląd pracy ognisk ujawnił też, że ten popularny i bardzo potrzebny ruch społeczny wymaga jednak mocnych podstaw organizacyjnych, zerwania z prze-

starzałymi metodami pracy, stałej pomocy i koordynacji tak w sprawach artystycznych i nauczania, jak i samego administracyjnego prowadzenia placówek. Wyciągnięto słuszny wniosek przekształcenia Towarzystwa Muzycznego w Stowarzyszenie Społecznych Ognisk Artystycznych, które skoncentruje całą pracę na rozwoju działalności kulturalnej swych placówek muzycznych i poczyni starania, aby inne dziedziny sztuki miały swe oazy w naszym województwie na równi z — jak dotychczas jedynie przedsięwzięciem — Polihymnią. W organizowaniu ognisk plastycznych Sto-

warzyszenie znajdzie zapewne wiernego sprzymierzeńca w Związku Polskich Artystów Plastyków.

Zadania Stowarzyszenia są ogromne i powinny być realizowane poprzez najatrakcyjniejsze formy. Rozwijanie zamiłowań artystycznych wśród młodszych poszczególnych Muz, to podstawowa dziedzina pracy ognisk i bodajże najłatwiejsza. Ona też została mniej więcej opanowana. Natomiast spopularyzowanie sztuk pięknych i zbliżenie dzieł sztuki do najszerszych mas społecznych, tak by stały się one codzienną potrzebą — oto szeroko otwarte pole do popisu. Na naszej mapie kulturalnej nie potrzeba szukać ugorów do zaozrania ze szkiem powiększającym w rękę...

MARIA CECYLIA GUZIOŁEK

TARNAWSKIE WIECZORY

KONGRES KULTURY POLSKIEJ

Z górki, na której stoi dom Bronisława Fabiana rozciąga się rozległy widok na Tarnawę Górna. Zabudowania skupiły się w dolinie, wzdłuż drogi okolonej zielonymi wzgórzami. Jakże inna wizja przechodziła się w pamięci mojego rozmówcy. Wyobrazić sobie: dymne, kurna chaty... kiedy obok wznoszą się obiekty niemal willowe.

Czasy na szczęście zmieniły się. Bronisław Fabian — milicjant w latach 1944—45, pełniący służbę w Komandzie, Lupkowie, Szczawnem mógłby wiele opowiedzieć o trudach i bohaterstwie tamtych lat. Przy usuwaniu niewypałów spotkał go wypadek, który stał się przyczyną kalectwa. Trzeba zmienić zawód... Po latach pracy, w różnych zakładach, po wielu kursach oświatowych — osiada w rodzinnej wiosce.

W ciągu dnia Tarnawa się wyludnia. Setki osób dojeżdżają do pracy, zatrudnienie znalazli w „Autosanie”, w Zaturzu, Zagórzcu, okolicznych kopalniach naftowych. Dopiero po południu wioska ożywia się, peczęje. Na każdego czeka jeszcze trochę zajęcia w gospodarstwie rolnym, zwłaszcza latem, jesienią. Tak jest do wieczora, kiedy to gwarem rozbrzmie miejscowa klubo-kawiarnia.

Nawyk picia kawy upowszechnił się, ale to chyba jedynie upodobania te kawiarnie do jej miejskich siostrzy. Nic z ploteczek, gnuśnego palenia papierosów. Tu bowiem skupia się całe niemal życie kulturalne tarnawian. Dusza i niezastąpionym jego organizatorem okazał się właśnie Bronisław Fabian.

W Tarnawie działa zespół teatralny. W ubiegłym sezonie oklaski zebrali za komedie Fredry „Gwałtu, co się dzieje”, tegoroczny rozpoczął wystawieniem „Dramatu Joli” Łęczyskiej.

Wspomnienia o Leśmianie

Nakładem Wydawnictwa Lubelskiego ukazała się książka poświęcona znanemu polskiemu poecie okresu międzywojennego Bolesławowi Leśmianowi, który w latach 1918—1935 pracował najpierw w Hrubieszowie, a następnie w Zamościu jako notariusz. Książka zatytułowana „Wspomnienia o Bolesławie Leśmianie” zawiera artykuły pisane przez kolegów poety zarówno pisarzy, jak i prawników. Są tam m. in. prace o autorze „Łaki” pióra Juliana Tuwima, Ewy Szelburg-Zarembiny, Jana Brzechwy, Anatóla Sterni, Leopolda Lewina i Włodzimierza Słobodnika.

Teatr amatorski to pasja życiowa p. Bronisława. Zaszczepił ją wielu osobom w Tarnawie Górnej. Próby odbywają się regularnie, aktorzy chodzą niczym w zegarku. Ostatnio z uwagi na prace żniwne zawieszono je, ale we wrześniu, zgodnie z planem sztuka wejdzie na afisz i deski sceniczne.

Obok teatralnego, z powodzeniem pracują zespoły: muzyczny, recytatorski, chóralny. Ambitne, aktywne, znane w powiecie. W tegorocznych powiatowych eliminacjach recytatorskich Maria Kabala z Tarnawy zajęła IV miejsce. W roku poprzednim natomiast przedstawicielami tej wsi: Ryszard Rudy, Maria Zarzycka, Maria Kabala — zajęli trzy pierwsze miejsca w powiecie. Nieco gorszą lokatę tłumaczyć trzeba odnowieniem zespołu.

Drugim „konikiem”, niejako zawodowym Bronisława Fabiana są książki. Prowadzi gromadzką bibliotekę, nadzoruje dwa punkty w Olchowej i Tarnawie Dolnej. Łącznie — ponad trzydzieści sześćdziesiąt stałych czytelników rozmakowanych w dobrej lub fachowej literaturze. Młodzi czytelnicy szczególnym zainteresowaniem darzą Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej.

— Trudno się dziwić — mówi Bronisław Fabian. Dla wielu z nich wojna jest tylko historia, ale i starsi wiekiem chętnie sięgają po pamiętniki odwołujące kulisy wojny, wspomnienie z pól bitewnych czy też obozów jenieckich, koncentracyjnych. Ta forma pisarska ma na wsi wielu zwolenników.

Każdej zimy w tym roku już po raz czwarty w Tarnawie czynny jest Uniwersytet Powszechny. Wykłady odbywają się dwa razy w tygodniu przy pełnym komplecie uczestników, a niestety... wolnych słuchaczy, których do wzięcia udziału w wykładzie czy odczytanie zachęcił atrakcyjny bądź aktualny temat prawniczy, historyczny. A potem: nie kończące się dyskusje...

— Nie nudzimy się wieczorami w Tarnawie, nie gnuśniejemy. Daleko nam jeszcze do pełnego zaspokożenia potrzeb. Przydałoby się we wsi stałe kino. Brakuje sali. Może uda się pogodzić z tym budowę remizy strażackiej... Przydałoby się więcej spotkań z „ciekawymi” ludźmi. Jestem też zwolennikiem kompleksowych rozwiązań. Zdarza się często, że budując na wsi dom ludowy nie tworzymy od razu warunków do korzystania ze wszystkich dostępnych nowoczesnych form życia kulturalnego.

Bronisław Fabian będzie miał okazję wymienić swoje uwagi dotyczące pracy kulturalno-oświatowej na wsi z innymi doświadczonymi działaczami, którzy tak jak on zostali wybrani delegatami na Kongres Kultury Polskiej.

ELŻBIETA CIASTOŃ

ALARM podnoszą uczeni, działacze społeczni, liczni miłośnicy przyrody, a ich postulaty dotyczą różnorodnych, ważnych dla człowieka problemów. Niebezpieczeństwo grożące przyrodzie godzi bezpośrednio w czło wieka. Zamiast obszernej argumentacji przytoczę wypowiedź prof. dra Witolda Nowackiego, sekretarza naukowego Polskiej Akademii Nauk na ostatniej Sesji Zgromadzenia Ogólnego PAN:

„Członkowie Akademii podnosili z głębokim poczuciem odpowiedzialności i troski głos ostrzeżenia przed rabunkowym użytkowaniem zasobów przyrody, przed naruszeniem równowagi biologicznej, co pociąga za sobą nieodwracalne szkody przyrodzie ojczystej i zdrowiu człowieka. W związku z tym upominano się o uwzględnienie głosu biologów w sprawach dalszego użytkowania zasobów przyrody oraz o rozwój nauk fizjograficznych w Polsce, tak aby można było zabezpieczyć do badań naukowych i muzeów przyrodniczych okazy przyrody, zanikające na terenach podlegających szybkiej industrializacji”.

Tak sformułowany postulat nie budzi chyba niczyich wątpliwości. Program ochrony przyrody uwzględnia także szereg innych spraw, pozornie drugorzędnych, jak opieka nad niedużymi skupiskami drzew, parkami czy pojedynczymi okazami przyrody. Jakże często padają one ofiarą ignorancji i beznamiętności.

Mam tu głównie na uwadze parki podworskie, których w woj. rzeszowskim jest 340, w tym niejedną z niezwykle rzadkim i cennym drzewostanem. Nie będę się rozpisywał o zniszczeniach w okresie wojny, czy warunkach, jakie zaistniały w pierwszych latach powojennych, ale proces dewastacji, chociaż może powolniejszy, postępuje nadal. A jak ocenić wycięcie alei wiekowych lip w PGR w Sierakoćcach? To po prostu akt wyjątkowego wandalizmu. Zdrowe, mierzące kilka metrów w obwodzie drzewa, mogły jeszcze przetrwać dziesięciolecia; ich wycięcie zniszczyło krajobraz kulturowy, nie mówiąc o innych, pośrednich stratach, jakie przyniosła ta beznamiętna decyzja.

Inne parki są dewastowane ze „względów wyższej natury”. Tak przynajmniej twierdzą inwestorzy. Przecież dla kilku drzew, nawet najstarszych, nie zaniecha się inwestycji o decydującym dla gospodarki narodowej znaczeniu, np. elektryfikacji kolei, ale linie wysokiego napięcia można przeprowadzić koło parku, a nie przez sam jego środek.

Najpoważniej ucierpiał parki, podobnie zresztą jak i zabytkowe budowle, które użytkowały jednostki gospodarcze, chociaż zdarzają się wyjątki; np. PGR w Stubnie otacza drzewostan pieczołowitą opieką. W najlepszym jeszcze stanie zachowały się parki pozostające pod opieką szkół.

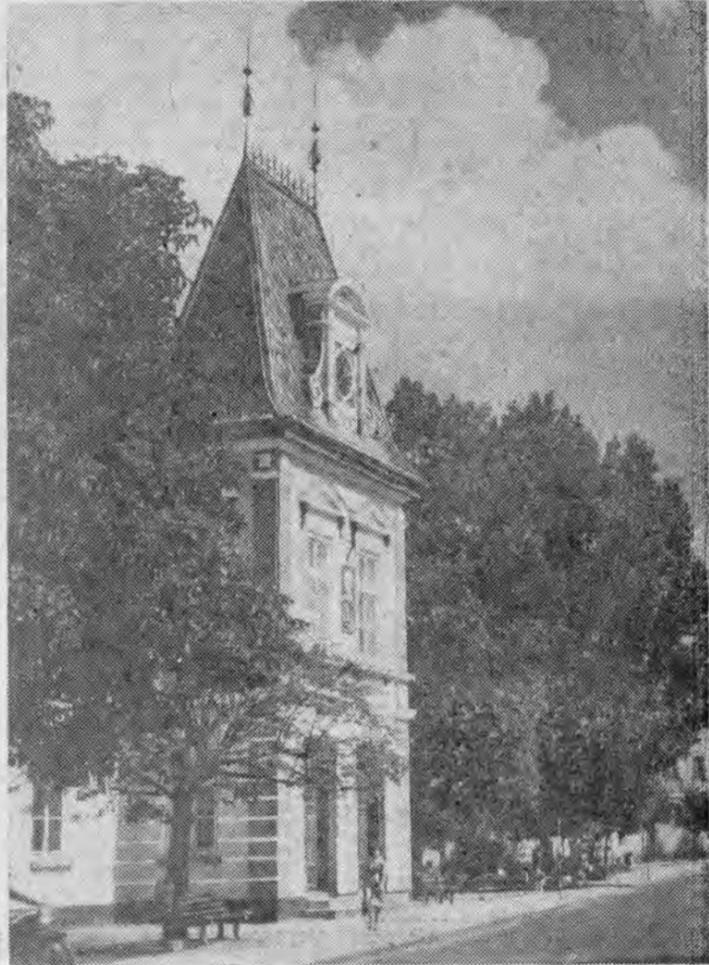
Zajdźmy do jednego z okazałych parków w tej części Polski; dawny park Pawlikowskich z Medyki świetnością ustępował chyba

Zdzisław Kozioł

UCHRONIĆ

tylko parkowi Potockich czy Kraświckich. W medyńskim parku wmurowano niedawno tablicę pamiątkową ku czci Jana Gwałberta Pawlikowskiego, wybitnego działacza na polu ochrony przyrody, a zarazem prawnika, ekonomisty, znawcy literatury doby romantyzmu i pisarza.

lonym z duszą mieszkańca, związanym z nią nicią tradycji. Mieszkaniec świadczy o człowieku, wygląd Ziemi naszej daje świadectwo duchowej kultury i nawzajem wywiera na mieszkańca wpływ kulturalny. Jaki człowiek — takie mieszkanie, ale i jakie mieszkanie — taki człowiek”.



Fot. M. ROPEĆ

„Ochrona przyrody” — pisał w 1932 r. — jest ochroną oblicza Ziemi, zatem jej piękna i rysów swobodnych. Jest to walka z pustką, monotonią, brzydotą, banalnością, bezcharakterem i nudą, jaką przynosi nam ogołocony z przyrodniczo piękna okolica. Przyroda jest mieszkaniem nas wszystkich — chcemy, aby to mieszkanie nie było zajazdem, w którym znajdują chwilowe schronienie przybłądy, ale prawdziwym, własnym ogniskiem domowym, przedmiotem przywiązania i opieki naszej, zespo-

Istotnie, wygląd ziemi świadczy o człowieku... Przybyli na uroczystość odsłonięcia tablicy musieli forsować zarastające park ziemską i chwasty. Teraz są już ścieżki, zrobiła je młodzież szkolna, ale beznamiętność przez lata użytkowanie parku pozostawiła aż nazbyt widoczne ślady. Wypasano bydło, składano obornik, wapno i nawozy sztuczne. Jeżdżące po parku traktory dodatkowo niszczyły unikalne okazy drzew i krzewów, w tym południowoamerykańskich, chińskich, japońskich, a także naszych — rodzi-



Widziałem raz jak pracuje karuzel.

Była to machina skonstruowana chłopskim rozumem i domowym przemysłem. Składała się z dwu drewnianych zębatach kół. Mniejszego pionowo i dużo większego poziomo, zahaczających się nawzajem. Prowadził od nich dwuczęściowy, również drewniany obracacz, łączący zębata koła z prymitywną sieczkarnią.

Siedziałem obok stodoły na stercie drzewa urzeczony — co tu mówić — bo placce defilad pełne były nowoczesnych rakiet, bo pokazano w

televizji kosmonaute, który wyszedł ze sputnika w przestrzeń. Nie zdziwiłbym się, gdyby poranna gazeta doniosła o wyładowaniu na Księżycu czy jakiejś dalszej planecie zdrowej, ludzkiej załogi. Ale zobaczyc w samo południe dwudziestego wieku drewniany karuzel, tę prehistoryczną łondę, służącą wciąż człowiekowi, to gratka. Dlatego właśnie przysiadłem na stercie desek obok stodoły. Dlatego patrzyłem. Dlatego napisałem to opowiadanie.

Chłop dokładał akurat słomy, nucił po swojemu rozwilekła melodię. Baba zaś, ubrała na ramiona rze-

mienne szleje, a w pasie obwiązała się postronkiem i tak wpręgnęła się do poprzecznego, grubego pala. Ciągnęła go za sobą, drepając w kółko małymi krokami. Wyrzeźbiła przez to w ziemi płytki rów, wyraźny ślad kilkudziesięcioletniego prowadzenia zębatach kół i obracacza. Tnący słomę nóż dzwonił o żelazne występy koroty.

Od wschodniej strony pojawiło się na tle stoncznego nieba kilka jaśniejszych pręg, mknących trop w trop — drobny punktami, ledwo widocznymi z tak znacznej odległości. Punktiki przesunęły się

lewą częścią horyzontu i znikły bardzo szybko. Tak prędko znikły — jak prędko się pojawiły. W parę sekund po ich zapaściu za widnokręsem rozległ się huk odrzutowych silników.

Baba przysłoniła dłoń oczy. Spojrzała w górę.

— To już czwarty raz, jak tniemy sieczkę — powiedziała. Karuzel urwał w tym czasie swoje jednostajne terkotanie. Również noże w sieczkarni zamilkły. Chłop zaprzestał monotonnego zawodzenia.

— Czego tam — mruknął z ciemnego wnętrza stodoły, dusznego od świeżo zwiezionej słomy i młodego ziarna.

— A o, samoloty. Takie toto, Józek, sprytne, takie zmyślne, co okeż.

— Ty masz rozum, babo? Samolotów nie widziała. Patrz lepiej, z czego żyjesz.

Baba poprawiła uwierającą ją rzemienie. Opasała je wokół dłoni, żeby użyć ramionom. Chłop dodał sieczkarni nowej słomy. Znów zaczął rozrywkowe przyspiewki. Była to mozaika, ten jego śpiew. Zawierała trochę pogrzebowych tonów, odrobinkę czegoś tam, co grał onegdaj na weselu miejscowy akordeonista, szczyptę własnej, niepowstrzymanej fantazji i wreszcie bardzo wiele braku jakiegokolwiek szacunku dla uszu ewentualnego słuchacza. Docisnął słomy. Karuzel natychmiast odczuł ten jego ruch i w następstwie opór sieczkarnianych trębów. Babę szarpnęło do tyłu. Pochyliła się niżej. Zaparła nogi w uklepany, ubity na kamień grunt. Karuzel zaczął terkotać ze zgrzytem, grożąc lada chwila kompletną ruiną.

Bo czego jak czego, ale spoistości i mocy to ten karuzel nie miał.

No dobrze. Ale czemu ci ludzie

nie poszli do sąsiadów zza płotu czy choćby zza kilku płotów i w braku swojego nie pożyczyci obcego konia, który zrobiliby ich mozołną pracę pięć razy szybciej, przy czym nikt nie musiałby powiedzieć nawet prostego „dziękuję ci koniu”. Pewien filozof napisał, że natura ludzka jest niezbadana. Przypomniałem sobie ten cytat zupełnie w porę, choć nie wiem, czy mi się on na co przydał.

Od wschodniej strony nadleciały złote punktiki. Zostawiły w powietrzu kręte pasma spalin. W jakiś czas później rozległo się wycie samolotów.

— To już piąty raz — rzekła baba zatrzymując karuzel. W jej głosie doszukałem się podziwu. Przymrużyła oczy i spojrzała pod słońce, chociaż samolotów dawno już nie było. Chłop wystawił ze stodoły swój rozdeptany kapelusz.

— Samoloty. Znów się samoloty — powiedziała do niego.

— Oj, babo ty jedna. Ja ci tylko mówię. Weź ino się do roboty. Bo mi braknie cierpliwości i wezmę kij.

Kobieta stała nadal w miejscu. Sledziła wzrokiem jasne pręgi spalin, rozpylające się teraz i zamazane.

— Widziałeś ty, Józek? Patrzę na te samoloty i tak mi się dziwnie robi. Niby nic, myślałby kto. Takie fruujące skrzaty. A tu ho, ho!

— Rusz się, babo. Nie zdążymy z tą sieczką, jak będziesz się tak guzdrała — zachęcił ją chłop. Baba pociągnęła karuzel. Ale tryby w sieczkarni werzęły się w słomę i trzymały na potęgę. Zobaczyłem pręgi na czole baby i krew, napływającą do jej twarzy. Nie mogąc dać rady, zdjęła opasującą ją rzemienne popręgi. Stała za po-

PRZED ZAGŁADĄ

nych. Są tu platanowce, dęby purpurowe, miorzęby i wiele, wiele innych.

Niektóre z nich w ogóle przetrwały do naszych czasów, tylko dzięki uznaniu ich przed wiekami za święte drzewa; zwykle rosły one niedaleko kościołów. Są to także drzewa, którym dawniej przypisywano cudowne właściwości; liść miorzębu miał podobno przynosić kobietom szczęście... Uległem opowieściom Jerzego Pióreckiego, przemyskiego nauczyciela i przyrodnika, który oprowadzał mnie po parku. Z parkiem związane są liczne legendy i wydarzenia historyczne. Jest tu zarosnięty chwastami kopiec Jagielly, z którego rozciąga się widok na starorzecze Sanu, równie zapuszczone jak park. Stąd wyruszył oddział galicjan spieszący z pomocą powstańcom styczniowym...

Skoro wspominamy o przeszłości, to warto przypomnieć, że Jagiello ustanawiał prawa ochraniające przyrodę. Mądry władca kierował się względami gospodarczymi i militarnymi. W 1423 roku nakazał ochronę cisa, z którego produkowano kusze i łuki. Decyzja zwycięzcy spod Grunwaldu była jakby swego rodzaju embargo na zbrojeniowy podwójny surowiec, który wywożono masowo do Anglii. Jagiello nakazywał również oszczędzać „gaje gdzie mało lasów” oraz jelenie. Bobry zaś były chronione już za Bolesława Chrobrego.

Powróćmy jednak do współczesności. Proces dewastacji parku w Medyce jest zahamowany. Park, a raczej jego pozostałości (kilka hektarów) częściowo ogrodzono, choć niezbyt skutecznie. — Drułem kołczastym — mówi przewodniczący GRN — nie wypadła, a gładki skradną, bo nadaje się do zbrojenia betonu i innych celów gospodarskich. Przewodniczący zna wartość historyczną parku, dostrzega jego walory estetyczne i gospodarcze: może stanowić miejsce dla wypoczynku, przyciągać turystów, ochraniać okolicę przed zapyleniem przeladowanej opodal rudą żelaza. Ale park nie podlega GRN, jest w użytkownictwie PGR. — A można by w dawnym domu gościnnym Pawlikowskich urządzić dom wypoczynkowy — wdycha przewodniczący.

A więc wylania się kwestia właściwego użytkownika. Wniosek nie będzie wysuwał, ale sprawa ta wymaga poważnego rozważenia. Dotyczy to zresztą nie tylko parku w Medyce. Ich ochrona nie jest chyba zbyt kosztowna, wymaga jednak fachowej opieki, której nie posiadają obecnie. W Medyce np. posadzone nowe drzewa, tak pod sznur, zatrącając tym samym kompozycję parku; trzeba je wykopać i przesadzić.

Spotykałem miłośników przyrody, którzy w archiwach poszukiwali

przecznym drągiem. Dopiero wtedy, naciskając pierwszą i bruchem, zdolała wprawić w obrotowy ruch. Chłop czując się usatysfakcjonowany podjął swój niemotornie rozulecony śpiew. I znowu styszałem to samo, co pierw. Tupot białych gumniaków, łoskot karuzela, szczęk noża w żelazną ramę, szeleści nakładanej stomy i owa beznadziejnie smętna śpiewanie.

Potem rozleciało się w słońcu kilkanaście odległych samolotów, wlokących za sobą przezroczyście pasy zużytego gazu. Daleko, daleko zastyła własny dźwięk.

— Szósty raz — rzekła baba, zatrzymując się. To musi być potęga, te cude samoloty.

Spojrzała przy tym nie w górę, tylko na mnie, chociaż nie odzywiałem się dotąd jednym słowem, nie puściłem dostojnie parę z ust.

— Czytałam w gazetach — dodała baba — że samoloty to jeszcze nie, pantie. Ale rakiety i sputniki. Strach pomyśleć, ile to zmieniło się na tym świecie od moich czasów. Niby świat ciągle ten sam co dawniej, ale przecież nie ten sam. Inaczej teraz żyją, inaczej myślą. I w ogóle wszystko inaczej.

Chłop, zniecierpliwiony bezczynnością, wychynął ze stodoły, niby pływak z głębi wody. Zbliżył się do baby krok za krokiem zdejmując kapelusz. Przystanął naprzeciw niej. Rzekł:

— Stuchaj mnie uważnie, babo.

— Józek, no czego ty.

— Zakładaj rzemienie, babo. Wprzęgnij mi się zaraz do karuzela. Nie twoja ani moja sprawa te samoloty i rakiety czy jak im tam. My musimy urządzić dużo sieczi. Rozumiesz?

planów parków, by — gdy zajdzie sprzyjająca sytuacja — przywrócić im dawny wygląd. Przede wszystkim zaś potrzebna jest jasna koncepcja, jakim celem mają one służyć, kto powinien sprawować nad nimi opiekę. Jedno jest pewne — zabytkowe drzewostany trzeba ratować. Zachodzi także pilna konieczność tworzenia nowych terenów rekreacyjnych, stąd wartość tych skupisk drzew staje się coraz większa.

Wyjątkową zaś wartość posiada park w Krasiczynie otaczający renesansowy zamek, uznany za zabytek europejskiej klasy. Sam park jest też zabytkiem jakich w Polsce mało: rzadkie okazy flory, jedyna chyba tego rodzaju kolekcja roślin iglastych. Obok wielu innych, na podkreślenie zasługują walory naukowe drzewostanu. Słowem — park jakich mało.

Do redakcji wpłynęły liczne sygnały o jego niszczeniu. Pojechałem do Krasiczyna. Wcześniej, z prezesem Zarządu Wojewódzkiego Ligi Ochrony Przyrody Stanisławem Goleniem, złożyłem wizytę w Dyrekcji Zarządu Okręgu Lasów Państwowych w Przemyślu. Dyrektor Kosiński i inż. Fr. Beres zapewniali mnie o troskliwej opiece jaką Technikum Leśne otacza park mimo braku funduszy na ten cel.

Opinie wręcz przeciwstawne wypowiadali także fachowcy. Kilku godzinny pobyt w Krasiczynie, który nawiasem mówiąc był doskonałym wypoczynkiem po upalnych dniach spędzanych w mieście, nasunął mi sporo uwag i spostrzeżeń, ale czy moge wyrażać arbitralne opinie o stanie parku?

W parku spotkałem sporo młodzieży, która przebywa w Krasiczynie na kolonii. Byli także turyści; wchodzili i wychodzili zarówno bramą, jak i sporych rozmiarów dziurami w ogrodzeniu. Zachowanie młodzieży i turystów było wzorowe, ale przebywali tu także mniej solidni wycieczkowicze; w bujnej roślinności znajdują się butelki po wódce. Niektóre partie parku czynią wrażenie przynębiające, a już niepokój wzbudza niszczenie wielu okazów drzew, zwłaszcza żywodrzewia; jego gałęzie nie wytrzymały ciężaru śniegu, który niespodziewanie spadł w listopadzie ub.

roku. Przedwczesne opady jak gdyby zaskoczyły organizm roślin, co spowodowało dodatkowe szkody. Wiele drzew pilnie wymaga zabiegów konserwatorskich!

Zasiegnąłem opinii w Muzeum Łańcuckim, którego Krasiczyn będzie niedługo filią. Pani Elżbieta Baniukiewicz, kierownik Działu Konserwacji Przyrody informuje mnie o stanie przygotowań do renowacji parku. Dokonano już inwentaryzacji zieleni, przeprowadzono pomiary geodezyjne, w trakcie opracowania jest także dokumentacja techniczna renowacji.

Przed 6 laty był już sporządzony projekt wstępny, bardzo kosztowny i trudny w realizacji. Przewidywał m. in. zakrojone na szeroką skalę roboty ziemne, zalanie wodą terenów przed basztą zegarową, co pociągnęłoby za sobą wycięcie jednej z alej. Zmiana koncepcji przeznaczenia zamku pociąga za sobą konieczność zmiany opracowanych uprzednio założeń wstępnych. Autorem ostatecznego projektu będzie prawdopodobnie Katedra Terenów Zielonych SGGW w Warszawie.

Pani E. Baniukiewicz nie kryła trudności, ale najważniejszym jest to, że służba konserwatorska przystąpiła do ratowania drzewostanu: plombowania, kłamrowania i podwiązywania drzew, zabiegów, którym w wielu wypadkach nie mógł poddać dotychczasowy użytkownik zamku — Technikum Leśne. Dalsze prace są uzależnione od kredytów i ukończenia dokumentacji. Przejście opieki nad zamkiem i parkiem przez Muzeum w Łańcucie gwarantuje uratowanie renesansowego zabytku. Chodzi jednak o czas...

Swojej rozmówczyni wspomniałem o innych parkach; wykazała żywe zainteresowanie, gotowość dokonania „wizji lokalnej”, służenia radą. Czy ktoś skorzysta?

O różnych problemach ochrony przyrody rozmawiałem z kierownikiem Wydziału Kultury Prezydium WRN, mgr Władysławem Czajewskim, który jest aktywnym działaczem LOP. Powoływał się na górnośląskie doświadczenia, gdzie zagadnienia ochrony przyrody są kompleksowo rozwiązywane. Górny Śląsk ma przysłowiowy nóż na gardle. A Rzeszowszczyzna? Jeszcze nie, chociaż zagrożenie niektórych regionów jest już zaawansowane. Ze wspomnianych doświadczeń warto dostatecznie wcześniej skorzystać.

Zdzisław Kozioł

Czy można ułożyć listę najcenniejszych powieści XX wieku?

Nielatwe to zadanie — ustalić wykaz najwybitniejszych powieści naszego stulecia, które uważalibyśmy za godne przekazania potomności. Ale od czasu do czasu podejmowane są takie próby. Oto np. angielski krytyk literacki Cyril Connolly opublikował ubiegłej jesieni na łamach „Sunday Times” spis 100 dzieł, które — jego zdaniem — są najbardziej reprezentatywne dla naszej współczesnej twórczości. Ale anglocentryzm autora listy sprawił, że przeważali na niej pisarze angielscy, amerykańscy i... francuscy. Zabrakło takich nazwisk, jak Tomasz Mann, Brecht, Majakowski, Kafka, Musil, Anna Seghers. Trudno więc mówić o obiektywności p. Connolly.

Inną próbę przedstawił w czerwcu br. na łamach szwajcarskiego tygodnika „Die Weltwoche” profesor literatury niemieckiej, Hans Mayer. Opracował on listę obejmującą 100 pozycji, którą nazwał „Imaginacyjnym muzeum sztuki powieściowej naszej epoki”. Jako czas powstania dzieł obrał on okres między 1900 a 1960 rokiem.

Brak miejsca nie pozwala na przytoczenie całej listy. Dość powiedzieć, że zawiera ona następujące działy: literatura amerykańska — 22 pozycje, do powieści Saula Bellowa Herzoga włącznie, literatura angielska — 18 pozycji, ale bez Galsworthy'ego!, powieści w języku niemieckim — 28 pozycji, literatura francuska — 20 pozycji, włoska — 9 pozycji, rosyjska — również 9 pozycji, w tym Solżenicyna „Jeden dzień Iwana Denisowicza” i wreszcie grupa nazwana „z różnych literatur” — obejmująca także 9 pozycji. Te grupe warto wyliczyć: Joyce'a „Portret artysty i „Ulisses”, Becketta „Smierć Malone’a”, Gombrowicza „Ferdynand”, Tibora Dery „Niezakończona zdanie”, Ivo Andrića „Most nad Driną”, Nexo „Felle zwycięzca”, Travena „Starek umarłych” i Ramona Jose Sendera „Zaginiony”. Propozycję Mayera też trudno uznać za bezstronną czy wszechstronną.

P
O
D
C
I
E
N
I
A



Fot. M. KOPEĆ

Prawo niesamotności

(Ciąg dalszy ze str. 1)

czucie nowego miejsca w świecie i wyrwawszy się z prowincji, nie zostali wydani na pastwę zagubienia. Burzenie prowincjonalizmu bez ideologii — to byłaby kulturalna pustynia.

Przyszli do miasta. 32 miliony Kowalskich przyszło do miasta. Bo nie w tym rzecz, że jeszcze połowa mieszka na wsi. Mniej rozrywek, mniej książek, po prostu mniej obcych ludzi i mniej zdarzeń na godzinę — to prawda. W istocie jednak ujednolicenie wsi i miasta, prowincji i Warszawy w sensie t e m a t ó w i p r o b l e m ó w kulturalnych jest znacznie dalej posunięte niż w statystykach biur meldunkowych.

Cywilizacja miejska, to jeszcze nie znaczy — awans kulturalny. Dziecko, które dostaje kostki „A” i „B”, może złożyć z nich słowo „baba”, inne zaś z kostek całego alfabetu nie złoży niczego. Nie umie. Nie pokazano mu. Nie przygotowano do ucieszy z nowego bogactwa: rozszoszone niemocą, będzie ciskać kostkami na prawo i lewo. Patrząc niekończący się poemat niepedagogiczny o młodzieży. Ale nie przesadzajmy. Nikogo nie pocieszając twierdząc, że jak na gwałtowność cywilizacyjnej przemiany „przysięcia do miasta”, która dla milionów była jednocześnie pierwszą i drugą rewolucją przemysłową, gdzie indziej rozdzielonymi przez dziesięciolecia, rowerem i samolotem, bioskopem i telewizorem — jest wcale nieźle. Znaczną część kostek alfabetu umiemy już składać. I widzę dwie podstawowe przyczyny, dla których k u l t u r a l n e opanowanie nowej cywilizacji przebiega u nas stosunkowo dobrze, stosunkowo lepiej niż w wielu bogatych i bardziej w tym doświadczonych krajach.

Przyczyną pierwszą jest fakt, że przyswajaniu nowej cywilizacji towarzyszy u nas r e w o l u c j a o s w i a t o w a, upowszechnienie szkoły, stopniowo coraz wyższych szczebli i zarazem praca nad jej reformą, dostosowaniem do nowych warunków.

Przyczyną drugą jest, że tej nowej cywilizacji dorabiamy się tak dużym — właściwie nieproporcjonalnie dużym — wysiłkiem: wszyscy razem. Nie ma u nas „wyższych klas”, „elity”, która gdzie indziej uczy innych, jak się organizuje i jak przyswaja nową cywilizację. To kosztuje: najpierw nikt niczego dobrze nie umie — ani lokator korzystając z łazienki, ani architekt jej budować, ani goś zachowywać się na imprezie, ani Pagart dobrać wykonawców, ani młodzieniec kulturalnie korzystać z motocykla, ani minister dopilnować jakości maszyny. K o s z t e k o n o m i c z n y nowej cywilizacji jest u nas wskutek tego, wyższy, zbyt wysoki i nie ma się z czego cieszyć. Ale wyższa jest również świadomość p r o b l e m ó w w tej cywilizacji, jej kulturalne przyswojenie sięga głębiej. To żaden paradoks: proszę znaleźć drugi kraj, gdzie odbywa się tyle dyskusji na tematy motoryzacji i to we wszelkich aspektach, aż po „samochód i tradycje narodowe”. Można pomyśleć, żeśmy w Ameryce. Tymczasem właśnie w Ameryce jedyną dyskusję ogólnospołeczną o samochodach spowodował pan Nader na temat: bezpieczeństwo jazdy i osadzenie układu kierowniczego... Jesteśmy więc, oczywiście, trochę śmiešní z tym naszym „samochód a kultura”. Mamy bardzo mało samo-

chodów. Ale warto czasem odnajdywać powagę pod śmiešnością: nową cywilizację traktujemy bardzo serio, przeżywamy i trawimy gruntownie nie najobfitsze przeciędania.

Nowej cywilizacji — powiedziano — dorabiamy się wszyscy razem. Egalitaryzm, który jest cechą naszej struktury społecznej, równość praw i dążeń do zrównania szans — jest to zarazem najpotężniejszy kulturowy moment naszego dwudziestolecia.

Egalitaryzm jako idea, jako moment kultury nie jest wynalazkiem socjalizmu. Jako chrześcijaństwo jest równość przed Bogiem, jako obywatelstwo demokracji mieszczańskiej — przed prawem. „Wynalazkiem” socjalizmu, jest dopiero stwierdzenie, że równość ludzi jest najlepszą zasadą organizacji społecznej. Stwierdzenie to przenosi „równość” ze sfery idei w sferę praktyki — to wiemy. Zbyt może rzadko podkreśla się natomiast drugi jego aspekt, że tym lepiej dzieje się społeczeństwu, im bardziej jego członkowie są równi w praktyce. Nie jest to wcale rzecz oczywista: wszelkie możliwe „potrzeby hierarchii” społecznej wysuwano i wysuwa się przeciw niej. Nawet termodynamikę przywołuje się na pomoc: gdzie nie ma różnic, nie ma ruchu. Ale ludzie nie są atomami. Dysponują świadomością. Ona właśnie stanowi o różnicy pomiędzy termodynamiką a socjologią. Ona też, świadomość ludzka, jest jedyną szansą i jedyną odpowiedzią socjalizmu jego krytykom. „Tym lepiej dzieje się społeczeństwu, im bardziej jego członkowie są równi w praktyce”. Tak — ale muszą być świadomi sensu tego postulatów, wymaga sytuacji, którą stwarza jego realizacja. Dlatego też: socjalizm jest jedynym w historii ustrojem, którego nie można zbudować, nie tworząc jednocześnie nowej świadomości socjalistycznej kultury.

Oto więc wielki temat, przy samym końcu felietonu. Nie będziemy go roztrząsać.

Jeśli jednak osiągnęliśmy tyle, by każdy z 32 milionów Kowalskich wiedział, iż jego r ó w n o ś ć jest podstawą Rzeczypospolitej, jest to wielka zdobycz naszej kultury. Znaczący bowiem, że na straży nienużalnej pełni człowieczeństwa Kowalskich stoją nie zaświaty i abstrakcje, ale żywy i namacalny interes społeczny. Dzięki temu Kowalski, jedyny i niepowtarzalny — nie jest samotny. I to swoje wielkie kulturalne prawo n i e s a m o t n o ś c i winien egzekwować.

KRZYSZTOF WOLICKI

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

H. M. Tarnobrzeg: Opowiadanie „Antek ziołoz” istotnie nie jest najlepszym. Mówi Pan w nim o sprawach dość oczywistych, nie odkrywa niczego nowego. Poza tym, jak sam Pan przyznaje jest niedoświadczony i niedopracowane. Ale może warto kontynuować próby.

M. D. Brzozów: Niestety, z wiersza „Wspomnienia” nie skorzystał. Brak mu sily wyrazu artystycznego — w białych i utartych sformułowaniach mówi to, o czym wszyscy dobrze wiemy.

Z. Z. Rzeszów: Odpowiadamy — utwory Pana nie mogą być drukowane w „Widnokrąg”. Niestety, to objawy typowej grafomanii — np. „pachnie jak róża cudowna dziewczyno”, lub „kochana ziemia wyblada” „...zdążyć umrzeć i umrzeć nie sztuka, chociaż grobu nikt nigdy nie szuka...” itd. To nic wspólnego nie ma z poezją.

J. P. Kolbuszowa: Na bezpośrednie pytanie bezpośrednio odpowiadamy: nie warto się trudzić.

P. A. — Lesko: Kalman Segal nie jest naszym pracownikiem, lecz współpracownikiem. Jego ślady miejsce zamieszkania, to Katowice. Przekazemy mu pańską opinię o jego opowiadaniu.

K. S. — Zagórz: Niestety, z fraszek i epigramatów, nie skorzystamy. Brak im dowcipu i błyskotliwości. Kilka lepszych pochodzi wyłącznie z „Czterech wieków fraszki polskiej”, co widzę mimo niezbyt udolnych przeróbek.

A. T. — Sanok: Opowiadania są zbyt przegadane. Nie zawierają również jakiejś prawdy życiowej, brak im autentyczności — są wyдуманymi. Nie będziemy drukowali.

K. M. — Stalowa Wola: Zgadza się z Panem, iż niezbyt regularnie drukujemy satyryczny felieton „Na wprost”, i że nie zawsze publikujemy komunikatywne wiersze. Nie widzimy jednak możliwości pełnego zaspokojenia pańskich postulatów.

E. D. Zarzecze, pow. Nisko: Jest w wierszach wyobraźnia, jest wrażliwość, brak jeszcze głębszej myśli i samowiedzy artystycznej. Trzeba wiele pracować, by zdobyć więcej wiedzy o sobie i świecie oraz nasycić wiersze treściami intelektualnymi.



W krainie brodatych

W Bieszczadach noszenie brody to nie tylko sprawa dobrego tonu, to prawie obowiązek. Na szosach, biwakach, campingach, w obozach i schroniskach panują niepodzielnie brodacze. Lansują wiele gatunków bród — w klin, w łopatę, w miotłę, w obwarzanek, hiszpańską i angielską, czarną, rudą i popielatą. Wydawać by się mogło, że tu w Bieszczadach zorganizowali sobie zlot i ciągną ze wszystkich stron kraju. Obnoszą dumnie swoją ozdobę twarzy jak sztandar, nie wiadomo tylko jakiej idei. Zawsze dotąd byłam przekonana, że broda w naszych czasach, to atrybut snobizujących się intelektualistów i artystów. W Bieszczadach przekonałem się, że jest inaczej. Broda zdemokratyzowała się, zeszała pod strzechy, a strzechy z kolei na brody. Chyba dlatego mało się widzi strzech w okolicy. Spotkałem na przykład trzech młodych brodaczy, którzy w rozmowie nie wykazywali nadmiernej bogactwa myśli. Używali tylko kilkunastu mocnych słów łacińskich, ale w postępowaniu się nimi wykazywali artystycznym smakiem. Stwierdziłem, że nawet robotnicy leśni, gajowci i kierownicy ciężarówek też ulegli modzie. Tylko juhasi i bawowicie na potoninach świecą gładkimi twarzami.

Brody stanowią tylko jedną z cech bieszczadzkiego sposobu bycia. Wśród autostopowiczów modne są w dalszym ciągu stare filcowe kapelusze, brudne chustki związane z fantazją na szyi oraz cągowce spodnie w dzwoony. Obowiązuje bowiem styl tropiciele śladów, trapeza lub kowboja. Tu w dalszym ciągu jedzie się po wielką przygodę, w

Galeria malarstwa w Zamościu

W zabytkowym, renesansowym Zamościu powstaje galeria malarstwa współczesnego — pierwsza tego typu placówka na Lubelszczyźnie i jedna z nielicznych w miastach powiatowych naszego kraju. Do przyszłej galerii zakupiono już pierwsze eksponaty, m. in. 14 obrazów pędzla uczestników pleneru zamajsko-zwierzynieckiego, który odbył się w lipcu br. W sierpniu uczestnicy pleneru zaprezentują swój dorobek na wystawie w Zamościu.

Ogólnopolskie spotkania artystów na Lubelszczyźnie, zainaugurowane lipcowym plenerem zamajskim, organizowane będą też w następnych latach.

krainę wszelkich niebezpieczeństw na spotkanie jadowitych żmij, wilków, rysiów i niedźwiedzi. Legenda o „dzikim zachodzie” ugruntowana filmami i literaturą bieszczadzką oraz sensacyjnymi komunikatami prasy, z których by wynikało, że wilki spacerują po ulicach Ustrzyk

Dołnych — utrzymuje się nadal. Młodzi włóczędzy muszą być gotowi na wszystko, muszą wygłądać groźnie i opanować wszystkie umiejętności z westernów. Widziałem więc dwudziestoletniego dryblasa (oczywiście brodatego), który rankiem pół godziny ćwiczył się w rzucaniu nożem do pnia, a później, drugie pół godziny piecizolowicie polerował mułem ten niezwykle zresztą wymyślny i groźny noż. Inny uprawiał dzygotówkę nocną na koniu z gajówki.

To wszystko byłoby zabawne i niegroźne, gdyby ci młodzi ludzie mieli nieco więcej kultury i nie traktowali z tak niestęchaną nonszalanca wszystkich wokół siebie. Gdyby się myli i czesali przynajmniej raz na trzy dni, nie chodzili w tak brudnych łachach, nie siedzieli w restauracjach okryci po indyjsku starymi kocami i nie zaśmiecali tak straszliwie miejsc biwakowania. To ostatnie dotyczy zresztą również turystów starszych i z pogardą spoglądających na hostię autostopowiczów-turystów z samochodami i nylonowymi namiotami. Ci również zamieniają w śmietnik i w wielki klozet wszystkie zagajniki przydrożne i wszystkie miejsca postoju. O kulturze turystów biwakujących pod namiotami świadczy najgorzej fakt, iż stary cmentarz w Brzegach Górnych zamienili w latrynę. I to jest objaw groźny i budzący niepokój, a nie brody i teksaskie portki. Przeróżający brak kultury turystycznej u większości niedzielnych turystów doprowadzi do dewastacji i zaśmiecenia całych Bieszczadów. Ucieczka od cywilizacji na łono pierwotnej natury (o czym się tak często mówi i pisze w związku z Bieszczadami) nie powinna być także ucieczką od przyzwoitości, elementarnych nawyków społecznych i kultury, gdyż nie na długo nam tego azylu pierwotności starczy. A sztandar z brody dla beznamiętnych naśladowców mody przemienie szybko i zastąpi go może hasło „sumiasty wąż” — nie należy się więc tym przejmować.

Gdy już wracaliśmy do Rzeszowa, gdzie przez Brzozowem spotkałem zupełnie już nadrealistyczny typ brodacza. Rosły mężczyzna w krótkich spodniach i sportowym podkoszulku miał piórami-rudą rozwianą brodę proroka i ciemne okulary. Szedł śpiesznie skrajem szosy i robił coś z kolorowej włóczki na drutach. Dążył, by zasilik szereg w Bieszczadach, a wyglądał tak „imponująco”, iż na pewno zostanie tam królem „bibrów”. JOTGIEL

Zapadła decyzja podjęcia prac nad nowym słownikiem. Rozpoczęto je w maju 1950 r. Jednocześnie z gromadzeniem materiałów, w którym brał udział ogół pracowników redakcyjnych, ściśle kolegium redakcyjne odbywało cotygodniowe

były m. in. prace słownikowe (Linde, Osiński).

Zeszyt próbny naszego słownika ukazał się w 1952 r. w związku z Kongresem Nauki Polskiej. Pierwszy tom wydany został w 1958 r. Cała publikacja — 10 tomów (bez

10 TOMÓW — 125 TYS. HASEŁ

obrazy, w czasie których omawiane były zagadnienia struktury słownika, jego zasięgu, metod opracowywania artykułów hasłowych, frazeologii itp. Ustalony kanon źródeł objął 3200 pozycji — zarówno dzieł literatury pięknej, jak też publikacji naukowych, dokumentów i in.

W miarę przybywania materiałów rosło archiwum słownika, które dziś zawiera przeszło 5,5 mln kar tek. Istnienie uporządkowanych materiałów archiwalnych pozwala odtworzyć historię pracy nad każdym hasłem, co umożliwi właściwą kontynuację pracy przyszłym polskim leksykografom. Archiwum jest nie tylko naukową filią słownika, z której korzystają zainteresowani z całego kraju, a także z zagranicy.

Po trzykrotnej przeprowadzce redakcja słownika znalazła locum w Pałacu Staszica. Warto dodać, że z gmachem tym łączą się stare tradycje leksykograficzne. Tu, na początku XIX wieku, odbywały się posiedzenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, w czasie których omawiane

były m. in. prace słownikowe (Linde, Osiński).

Zeszyt próbny naszego słownika ukazał się w 1952 r. w związku z Kongresem Nauki Polskiej. Pierwszy tom wydany został w 1958 r. Cała publikacja — 10 tomów (bez

deksu wszystkich wyrazów zarejestrowanych w dotychczasowych słownikach języka polskiego. Każda pozycja tego indeksu zawierałaby jedynie wyraz bez dokumentacji przykładowej i spis wszystkich słowników, w których wyraz ten był zarejestrowany jako hasło. Indeks zawierałby kilkaset tysięcy wyrazów i informował o historii wyrazów polskich.

Innym ważnym zadaniem, które stoi przed polskim językoznawstwem, to potrzeba rejestrowania zmian zachodzących w zasobie współczesnego języka. Jak żywiłowcy i bujni jest to proces, świadczy 5 tys. neologizmów wyrazowych, o które wzbogacił się nasz język w ostatnim dwudziestolecu.

Istnieją obserwatoria astronomiczne, których zadaniem jest rejestrowanie ruchów ciał niebieskich. Należy dążyć do zorganizowania placówki, która by była „obserwatorium leksykalnym”, to znaczy placówką rejestrującą na bieżąco wszelkie zmiany zachodzące w słownictwie polskim.

(rozmawiał Romuald Zaluska)

Węgierski malarz na szlaku Kasprowicza

Tibor Csorba — malarz i pisarz węgierski, związany od wielu lat z Polską — odbył podróż po miejscowościach, w których żył i tworzył Jan Kasprowicz. Plonem kilku wypraw jest ok. 40 obrazów stanowiących cykl pn. „Szlakiem Kasprowicza”. T. Csorba malował m. in. rodzinne Szymborze autora „Księgi u-

bogich”. Inowrocław, w którym młody Kasprowicz uczył się w gimnazjum oraz pejzaże z Kujaw i Tatr. Większość prac znalazła się w zbiorach Muzeum Kujawskiego we Włocławku. Obecnie w tej placówce otwarta została wystawa całego cyklu, urządzona z okazji przypadającej w br. 40 rocznicy śmierci poety.



ANNA ZEBROWSKA — aktorka zespołu „Meluzyna” w Rzeszowie. Rys. J. SIENKIEWICZ

Mały felieton

W każdym pokoleniu zmieniają się obyczaje, manery, zasady, uprzejmości. Ustępuje sztuczność. Zwycięża prostota.

Oto przykład: na miejsce kadryla, który był czymś w rodzaju baletu, wtargnęła do naszych salonów nowa moda. Każdy tańczy tak, jak mu się podoba. I tak, jak potrafi.

Kiedys po tańcu całowano partnerkę w rączkę, po czym zapraszano na kielich szampa. Dzisiaj całowanie w rączkę nie jest obowiązkowe, bo to niehygienicznie. Po tańcu wystarczy zaproponować damie szklankę wody sodowej. Tanio i zdrowo. Niech pije.

A w ogóle trzeba powiedzieć, że sposób odnoszenia się mężczyzny do kobiety i kobiety do mężczyzny, daje doskonałe świadectwo o tym, co ich łączy. I tak na przykład, jeśli kobieta w publicznym miejscu głośno wyraża pogląd, że mężczyzna towarzyszący jej jest idiotą, wówczas wiadomo, że to jego żona.

Gdy on nie ustępuje jej w drzwiach, gdy on wchodzi lub wychodzi pierwszy, a ona dopiero za nim: małżonkowie.

Jeśli zaś on jej ustępuje pierwszeństwa i jeszcze grzecznie drzwi przed nią otworzy, znaczy to, że mamy do czynienia z parą narzeczeńską. Albo że ona jest cudzą żoną.

Interesującą bywają również spostrzeżenia przy stole. Jeśli on sięga pierwszy po półmisek i wyławia największe porcje: mąż.

Męża równie łatwo poznajemy na ulicy lub w parku. Idąc z własną żoną, ogląda się za cudzymi. A gdy ona z tego powodu czyni mu wyrzuty, on kłamie: „O, ty kochanie, jesteś znacznie przystojniejsza”...

Na plaży lub w parku mąż zazwyczaj czyta gazetę, a żona doremnie usiłuje zwrócić jego uwagę na błękit nieba.

A oto inna para: siedzą oboje skuleni pod drzewem w czasie długotrwałej sloty, tak są sobą zajęci, iż nie zauważyli, że woda podeszła im już do ramion. Tu mamy do czynienia już nie z małżeńską parą, ale z parą zakochanych.

Mężowie! Pamiętajcie, że wasze żony też są kobietami!

Żony! Pamiętajcie, że mąż też jest człowiekiem...

KALMAN SEGAL



HENRYK SIENKIEWICZ. Materiały rocznicowe. W-wa 1966, CPARA, s. 148, cena zł 15.

Wydana z okazji Roku Sienkiewiczowskiego pożyteczna pozycja dla domów kultury i świetlic. Zawiera biografie pisarza (opracowaną przez Jana Baculewskiego), adnotowaną bibliografię powojennego piśmiennictwa poświęconego Sienkiewiczowi oraz przygotowane z myślą o zespołach amatorskich dwa wieczory literackie oparte o twórczość pisarza: wieczór prozy i wieczór poezji.

Wiesław Stradomski: KRĘCIMY FILM AMATORSKI W-wa 1966, CPARA, s. 172, cena zł 25.

Jest to podręcznik przekazujący czytelnikowi niezbędną wiedzę o amatorskiej twórczości filmowej. Zawarte tu wiadomości usystematyzowane są zgodnie z kolejnością powstawania utworu filmowego. Odpowiednie przykłady zdjęć pochodzących ze znanych filmów.

Edward Csato: LEON SCHILLER TWÓRCĄ MONUMENTALNEGO TEATRU POLSKIEGO. W-wa 1966, CPARA, s. 202, cena zł 30.

Praca składa się z dwóch części. W pierwszej pokazana jest droga L. Schillera do teatru, jego zasługi na tym polu oraz osiągnięcia w Polsce Ludowej. Druga zawiera wybór pism Leona Schillera oraz obszerną literaturę tematu.

Halina Winowicz: JAK TU PRAWDE O POLSCE POWIEDZIEĆ. Obchody — rocznice — uroczystości. Poradnik. W-wa 1966, CPARA, s. 286, cena zł 35.

Poradnik zawiera wiele pomysłów i propozycji związanych z przygotowaniem uroczystości o charakterze ogólnokrajowym lub miejscowym. Pomysłami jako pomoc dla organizacji młodzieżowych, klubów, domów kultury, towarzystw kulturalnych itp. Ciekawe projekty dekoracji sceny.

POWSTANIE STYCZNIOWE NA LUBELSZCZYŻNIE. Pamiętniki. Pod red. Tadeusza Mencia. Lublin 1966, WL, s. 242, cena zł 30.

Pamiętniki, z których najciekawsze fragmenty tu zamieszczono, powstały przeważnie w kilkadziesiąt lat po powstaniu. Autorzy ich reprezentują różne środowiska, różne poglądy społeczne i polityczne. W sumie pozycja ciekawa dla poznania organizacji i dzieł powstania w Lubelskiem i na Podlasiu.

Z WALK PRZECIWKO ZBROJNEMU PODZIEMIU 1944—1947. Pod red. Marli Turlejskiej. W-wa 1966, MON, s. 425, cena zł 38.

Pięciu autorów publikuje oparte na dokumentach prace. Dla nas szczególnie interesująca jest praca Jana Czapl: „Wielka z OUN-UPA w latach 1944—1947 (kureń „Zeleznia”)”, podająca organizację band UPA na terenie obecnego woj. rzeszowskiego, przebieg walk oraz szczegóły operacji „Wisła”.

Wiktor Dragunski: KŁOWN. Przekł. z jez. ros. W-wa 1966, Iskry, s. 188, cena zł 12.

Psychologiczna powieść, której akcja rozgrywa się w środowisku aktorów cyrkowych. Jest i watek miłosny.

Zbigniew Jakubik: CZAPKI NA BAKIER. Lublin 1966. Wyd. Lubelskie, Wyd. II, s. 195, cena zł 15.

Nowa pozycja literatury wspomnieniowej, partyzanckiej, związanej z II wojną światową. Akcja jej rozgrywa się na terenie woj. lubelskiego. Książka obok walorów dokumentalnych posiada wartość literacką.

Tomasz Sobański: UCIECZKI OSWIECIMSKE. W-wa 1966, MON, s. 175, cena zł 10. Mapy.

Książka zawiera 16 relacji o ucieczkach z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i Brzezince. W czasie jednej z nich uciekł z kacetu autor. Te zbeletryzowane relacje oddają klimat życia obozowego oraz pokazują wysiłek wielu mieszkańców okolic Oświęcimia w celu niesienia pomocy uciekinierom.

Roman Burzyński: NITKA WIELKIEJ SYNTEZY. W-wa 1966, „Czytelnik”, s. 236, cena zł 13.

Tom reportaży omawiających problemy zakładów przemysłowych przemysłu chemicznego. Dwa reportaże związane są z naszym województwem. Są to: „Smok ogniem zlejący” (o Tarnobrzegu i Baranowie) oraz „Kochajmy opony” (o Zakładach Przemysłu Gumowego w Dębicy).

Stefania Dziecielska-Machnikowska, Jolanta Kulpińska: AWANS KOBIETY. Łódź 1966. Wyd. Łódzkie, s. 137, cena zł 12.

Jest to książka o blaskach i cieniach emancypacji kobiet, oparta na autentycznych materiałach zebranych w środowisku łódzkim. Zawiera bibliografię przedmiotu.

Henryk Zdanowski: BELGRADZKIE ABC. W-wa 1966, Iskry, s. 251, cena zł 18.

Tom reportaży z życia współczesnej Jugosławii. Autor jest konsekwentny; 22 rozdziały noszą tytuły zaczynające się od kolejnych liter alfabetu. Całości dopełnia bogaty serwis zdjęciowy. Temat — to polityka, gospodarka, obyczaje.